

## **Gnieźnieńskie Forum Ekspertów Turystyki Kulturowej**

Pytanie 48

Czy możliwa jest turystyka kulturowa w krajach dyktatorskich?

**Szymon Czajkowski, AWF Poznań:**

*Coraz większa popularność turystyki i poszerzający się zasięg geograficzny podróży zachęcają do stawiania pytań na temat kolejnych destynacji. Podobne rozważania winny dotyczyć także turystyki kulturowej. Proponuję pochylić się nad tymi miejscami, w których swoboda podróżowania jest znacząco ograniczona. Pytanie dotyczy w pierwszym rzędzie Korei Północnej, uznawanej za najbardziej zamknięty kraj na świecie. Jak wiadomo, dla gości zagranicznych przyjazd do Pjongjang jest możliwy, lecz obwarowany licznymi ograniczeniami. Z drugiej strony, analizując powszechnie przyjmowane definicje turystyki kulturowej należy przyjąć, iż podróże na północ Półwyspu Koreańskiego i w miejsca podobnie rządzone i "urządzone" – wpisują się w ramy wspomnianych pojęć. Dlatego chciałbym zapytać specjalistów, **czy możliwa jest turystyka kulturowa w krajach, gdzie władze nadzorują i reżyserują spotkanie turysty z kulturą i jej dziedzictwem, zwłaszcza w Korei Północnej.** Czy uczestnik reżyserowanej i sterowanej przez władze w Pjongjang i podobnie funkcjonujące reżimy podróży może być nazwany turystą kulturowym? Czy narzucona mu lista miejsc i zachowań oraz jedynie słuszna interpretacja nie eliminuje jego szans na konfrontację z miejscem i jego walorami, lub nie ogranicza ich w stopniu na tyle dużym, że przekreśla ideę i istotę tej formy turystyki?*

Odpowiedzi:

**dr hab. Dariusz Dąbrowski, prof. UKW, Bydgoszcz**

Zadane pytanie uznaję za *signum temporis*, jeśli chodzi o podejście niektórych środowisk do kwestii turystycznych. Cechuje owo podejście pogoń za egzotyką, szukanie, najlepiej nie budzących do tej pory zainteresowania i trudno dostępnych dla przeciętnego odbiorcy atrakcji na siłę, a także swoiste lenistwo intelektualne (co zaraz postaram się wyjaśnić i co - oczywiście – nie odnosi się do Autora pytania, lecz do pewnej specyficznej kategorii osób roszcujących sobie czasami pretensje do bycia uznawanymi za turystów kulturowych). Najpierw jednak równie kontrowersyjna co oskarżenie o lenistwo kwestia szukania miejsc do eksploracji niedostępnych dla szerokiego grona odbiorców. Zdecydowanie nie mam nic przeciw elitaryzmowi, ba, jest on pod wieloma względami zjawiskiem korzystnym. Przecież nikomu nie trzeba tłumaczyć, że w turystyce kulturowej, konkretnie zaś w sferze możliwości percepcyjnych uczestników tej formy aktywności społeczno - kulturalnej dadzą się wyodrębnić różne poziomy możliwości. Znaczna część turystów kulturowych nie potrafi, nie chce i nie musi (te trzy sfery się przenikają i uzupełniają) eksplorować danego obszaru na poziomie eksperckim (co wiąże się z opanowaniem miejscowego języka przynajmniej na poziomie umożliwiającym komunikację z "tubylcami", znajomość kultury regionu i jego dziedzictwa na poziomie co najmniej dobrym). Jednak motywacje kierujące zwolennikami egzotycznych wojaży coś za bardzo pachną mi elitaryzmem w duchu tego, który kierował uczestnikami Grand Tour'ów. Oczywiście, jest tam z pewnością ciekawość świata, szczerą chęć poznania, ale - z drugiej strony - kto wie czy nie ważniejszą rolę odgrywa hołdowanie modom i próżność (zobaczcie, byłem w Korei Północnej, stać mnie na to, a was nie, odważny jestem, jaką mam wyobraźnię). Rewanżuję się więc pytaniem.

Czy o to rzeczywiście chodzi w turystyce kulturowej? Powrócę teraz do zapowiedzianej sprawy "lenistwa intelektualnego" będącego jednym z motywów uprawiania turystyki kulturowej w wersji przedstawionej w pytaniu Szymona Czajkowskiego. Proszę odpowiedzieć sobie na następujące kwestie: - ile osób jest w Polsce ekspertami w zakresie kultury koreańskiej? – jak można dogłębnie zapoznać się z kulturą Korei Północnej w momencie, gdy wycieczki do tego kraju są w pełni kontrolowane? Wnioski nasuwają się jasne. Osoba wybierająca się do tego kraju będzie skazana na z góry narzucony program i nie będzie nie tylko chciała, lecz i mogła wykazać się jakąkolwiek inwencją intelektualną w zakresie jego poznawania. Dostanie na talerzu konkretną potrawę przygotowaną przez kucharza, bez możliwości sięgnięcia do menu. To całkiem wygodne rozwiązanie dla chcących pochwalić się "egzotyczną i elitarną" podróżą. Taki model zaprzecza jednak idei turystyki kulturowej, jak ją rozumiem. Co najwyżej spełniać może kryteria określone dla podróży medialnych, noszących na przykład temat "Techniki manipulacji w kształtowaniu obrazu kraju w oczach turystów". Z pełnym przekonaniem - co widać z powyższej wypowiedzi - deklaruję się więc jako zwolennik "krajoznawczego" podejścia do turystyki kulturowej, co oczywiście nie wyklucza podróży egzotycznych *ex definitio*. Po prostu turysta musi się do nich bardzo solidnie przygotować oraz mieć możliwość swobodnego weryfikowania swej wiedzy w terenie.

***dr hab. Michał Jarnecki, prof. WPA UAM, Kalisz***

Rozpocznę nieco filozoficznie. We współczesnym, lekko zblazowanym świecie, pełnym sprzecznych sygnałów płynących z różnych stron, daje się udowodnić niemal wszystko.

W takim razie, czy "ekskursja", nazwijmy zresztą, jak chcemy, do Korei Północnej, czyli tzw. KRL-D, czy podobnych, nieco tylko mniej opresyjnych państw, np. Turkmenistanu, może być zaliczoną do spektrum wypraw turystyki kulturowej? Ludzie wrażliwi, kierujący się wąsko rozumianymi wartościami humanistycznymi, powiedzą najpewniej: „Nie”! I będą przy tym mieli wiele racji. Czy rzeczywiście oglądanie nowoczesnej wersji wiosek potiomkinowskich w kraju obozów pracy i sztucznie podgrzewanego entuzjazmu do liderów albo spotkania z fanatykami, wreszcie składanie wiązanek przed pomnikami zmarłych przywódców, posiadają wiele wspólnego z realną kulturą i rzeczywistością? Odpowiedź będzie także negatywna. To przecież odmiana sowiecko-maoistowskiej "pokazuchy", z którą mieliśmy do czynienia - w daleko skromniejszym wydaniu - w czasach PRL.

Niezależnie od tych uwag oraz faktu, że spotkamy tam wielu nieszczęśliwych ludzi, konieczne jest jednak także spojrzenie z innej strony. KRL-D stanowi - czy nam się to podoba, czy nie - realnie istniejące państwo, oficjalnie uznawane, a toczące się tam życie jest faktem społecznym. Nieszczęśliwych, umęczonych ludzi na świecie jest naprawdę sporo. Licznym moralizatorom jakoś nie przeszkadza ten fakt w odwiedzinach przykładowo szeregu krajów czarnej Afryki, gdzie rządy też dopuszczały się ludobójstwa, a i nadal dokonują się lokalne czystki etniczne. Ciekawe, a nawet na swój sposób fascynujące (szkoda, że prześlacone) może być zatem oglądanie skansenu stalinizmu i maoizmu zarazem, z lokalnymi dodatkami oraz osobliwą mentalnością. Część tam żyjących, poddana indoktrynacji i nie mając też wyjścia, doceniając poczucie względnej stabilizacji i pewności jutra, wspiera reżim. W pełni zgadzam się, że jest on mało estetyczny, choć takiego Denisa Rodmana coś w nim pociąga. Ale także dla innych wyprawa tam może być ciekawą i kształtującą wycieczką. Jeśli kogoś na to stać i w takiej formie chciałby obserwować zmieniający się świat, może wśród dostępnych destynacji wybrać także kraj, o którym opowiadała sławna "Defilada" A. Fidyka. Właściwie, dlaczego nie?

**dr Armin Mikos v. Rohrscheidt, Poznań**

Odpowiedź rozpocznę od formalnego określenia „status quaestionis”. Po pierwsze (jak to zauważył sam Autor pytania): powszechnie stosowana, jakkolwiek w mojej opinii nader szeroka „ekonomistyczna” definicja turystyki, ustalona i używana przez UNWTO, z całą pewnością obejmuje także wyprawy ludzi, zwiedzających najbardziej opresyjne państwa. Przypomnę jej sformułowania, znane tutaj wszystkim: „turystyka obejmuje ogół czynności osób, które podróżują i przebywają w celach wypoczynkowych, służbowych *lub innych...*” - przy czym w dalszej treści explicite wyłączone są tylko wyjazdy o charakterze zarobkowym. Po drugie, nie da się zaprzeczyć, że uczestniczący w wycieczkach do Korei Północnej i krajów rządzonych przez podobne reżimy, stykają się tam (a w wymienionym z nazwy kraju - nawet przeważnie) z miejscami, obiektami i wydarzeniami o charakterze antropogenicznym, zatem należy zaliczyć tę aktywność do – znów szeroko rozumianej - turystyki kulturowej. Wniosek: turystyka kulturowa w takich krajach *jest możliwa, ponieważ ... jest uprawiana.*

Teoretyk turystyki Dean MacCanell, odwołując się do dosyć radykalnych kategorii proponowanych przez Ervinga Goffmana, już przed blisko czterdziestu laty (1976) poddał miażdżącej krytyce zarówno organizację zbiorowych wypraw i zwiedzania miejsc, ich prezentację oraz narrację przekazywaną tam turystom, jak również – z drugiej strony - charakterystyczne zachowania tych ostatnich (w ich masie). Jedno i drugie składało się w jego opinii na dominujący sposób funkcjonowania całych segmentów turystyki, w tym – jeśli zastosować nasze tzw. szerokie kryteria – w szczególności kulturowej. Od czasu publikacji głównej pracy MacCanella (*The Tourist. A New Theory of the Leisure Class*) do dziś, stopniowa przemiana sposobów percepcji, postrzegania świata zewnętrznego i jego rozumienia, a tym samym mentalności milionów podróżujących (najdobitniej ukazywana w badaniach i opracowaniach nurtu refleksji postmodernistycznej) doprowadziła do uznania fragmentaryczności widzenia świata, relatywizmu procesu i rezultatów poznania, uznania za normę dystansu w stosunku do tego, co „pewne” i „dowiedzione” – a tym samym także i do autorytetu, narracji „sprawdzonej”, obowiązującej a nawet jakoś tylko dominującej. W turystyce kulturowej skutkami tego jest - między wieloma innymi - przewartościowanie samego pojęć autentyczności, interpretacji i narracji. Nie dokonując w tym miejscu oceny tych wszystkich zjawisk (z którymi sam miewam problemy) chciałbym zwrócić uwagę na jeden dość często zapominany aspekt. Twierdzi się otóż (w Polsce przykładem tego są prace K. Przeclawskiego), że istotną wartością turystyki, w pierwszym rzędzie tej kulturowej, jest realizacja za pośrednictwem zachowań turystycznych dialogu, polegającego na kulturowej (czyli z definicji wieloaspektowej) wymianie czy upowszechnianiu. Taka wymiana dotyczy przecież nie tylko wiedzy (np. o historii i religii, normach społecznych, języku, kulturze życia codziennego, itd.), ale i poglądów, przekonań, a także wartości etycznych, estetycznych, rozwiązań technicznych, sposobów rozwiązywania problemów, również walorów kulinarnych i dziesiątek innych. Warto zauważyć, jak bardzo szeroka jest płaszczyzna owej wymiany. Czy – jeśli z powodu rozmaitych ograniczeń - nie da się zrealizować wszystkich możliwych jej aspektów, należy jej możliwość w ogóle poddać w wątpliwość, zanegować, a może nawet taką turystykę odradzać? Otóż nie da się zaprzeczyć, że turystyka „od zawsze” dokonywała się w jakichś ramach: uczestnicy wypraw o charakterze pielgrzymkowym z powodu ograniczeń ich programu nie widzieli „grzesznych” aspektów odwiedzanych miejsc (o ile stosowali się do narzuconych reguł). W miastach aspirujących do miana atrakcyjnych i walczących o turystów przesłaniało się i przesłania za pomocą wielkich płotów całe dzielnice. W niektórych krajach tzw. „no-go-areas” funkcjonują całkiem oficjalnie: w trosce o bezpieczeństwo turystów czuwający przy wejściu policjanci ich tam po prostu nie wpuszczają. Zabronione są – zarówno tubylcom, jak i gościom - niektóre używki, niektóre hasła, niektóre zachowania, niektóre publikacje. Narzucane są także sposoby zachowań (postępowanie w miejscach świętych, dopuszczalny rodzaj ubrania, inne). Jeśli więc turysta

w Północnej Korei może zwiedzić tylko wybrane (nie przez siebie) miejsca, rozmawiać z bardzo niewieloma ludźmi, podstawionymi mu przez miejscową władzę, a nawet musi uczestniczyć w pewnych „ceremoniach” symbolicznego oddawania czci (dla mnie osobiście czymś najbardziej wstrętnym, zważywszy na biografie i co niektóre czyny owych „bohaterów”), to jest to – prawda, że nieco ekstremalny w swej skali – typ ograniczeń, narzucanych przecież od zawsze i niemal wszędzie. Jeśli z drugiej strony przyjąć oczywiste stwierdzenie, że pozyskanie przez jednostkę (a tym bardziej krótko przebywającego gdzieś turystę) pełnego, może tylko „całościowego”, a może nawet - jeszcze skromniej to ujmując - generalnie obiektywnego obrazu danej kultury (kręgu cywilizacyjnego), czy – znów skromniej - danego społeczeństwa jest w istocie niemożliwe, to – konsekwentnie - ograniczenia towarzyszące uprawianiu turystyki w ramach wskazanego w pytaniu typu destynacji nie znoszą kulturowego charakteru takiej podróży. W takim zresztą kontekście, pytanie sformułowane przez Szymona Czajkowskiego (raczej zresztą nie utożsamiającego się z przedstawioną w nim tezą o „przekreśleniu idei i istoty turystyki kulturowej”) zasługiwałoby na przewrotne kontrpytanie: a kiedyż to i gdzie uprawiano taką (idealną) turystykę kulturową?

I na koniec jeszcze inna kwestia, którą warto poruszyć. Turyści samą swoją obecnością zawsze tworzą jakieś formy dialogu, dialog bowiem nie realizuje się tylko w wymianie słownych czy pisanych informacji i opinii. Tym samym – jeśli zważyć reakcję tubylców na ich obecność choćby w formach obserwacji ich zachowań, porównywania ludzi miejscowych do nich, w strzępkach wiedzy pozyskiwanych w rozmowie o krajach i społeczeństwach ich pochodzenia – turyści jakoś tych miejscowych jednak zmieniają! W krajach innych niż Korea Północna zetknięcia z setkami tysięcy ludzi, którzy je odwiedzali miały i mają swój – nie zawsze uchwytny – udział w tworzeniu masy krytycznej, która w wielu miejscach ostatecznie doprowadzała do ewolucyjnej lub radykalnej zmiany na lepsze. Swego czasu ludzie z Zachodu przybywający na wakacje do titowskiej jeszcze Jugosławii tworzyli grunt do nowego rozumienia ich własnej sytuacji przez Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Także turyści odwiedzający frankistowską Hiszpanię na przełomie lat 60-tych i 70-tych ubiegłego wieku na pewno - nawet bezwiednie - uczynili wiele dla obrania nowego kursu politycznego i szerokiej akceptacji dla niego w społeczeństwie. Trudno dziś określić, jaki wpływ na niedawną „arabską wiosnę” miały dziesiątki milionów ludzi, przebywających przecież nie tylko na plażach i w hotelach Tunezji i Egiptu, ale z pewnością był on nie tak mały.

Jeśli więc w Korei Północnej turysta spotka nawet mało kogo, zamieszka tylko tam, gdzie mu pozwolą, zwiedzi miejsca według bardzo ograniczonej listy i porozmawia z wybranymi, to przecież jednak ktoś z wybranych i zaufanych przewodników i „opiekunów”, sprzątaczek i kelnerów, kierowców i innych obsługujących zauważy jego daleko wygodniejsze buty, nowoczesny zegarek czy (choćby niedziałający tam) smartfon, dosłyszcy i zrozumie jego dziwne pytania (a przecież w pytaniach zawarta jest zawsze także informacja!). Po czym – choćby szeptem – podzieli się swoją refleksją, niechby tylko z ludźmi najbliższymi i najbardziej zaufanymi. A oni z kilkoma kolejnymi. Wreszcie - nie na końcu – setki i tysiące ludzi tylko widzących go zastanowią się także nad samym faktem, że on mógł i miał za co przyjechać do innego kraju, podczas gdy oni tego zrobić nie mogą. I w ten sposób nasz turysta swoją małą kropelką przyczyni się do powolnego narastania owej masy krytycznej. I może przyspieszy to, co nieuniknione. W tym konkretnym wypadku może to być największa korzyść z turystyki kulturowej. „*Gutta cavat lapidem - non vi, sed saepe cadendo ...*”

**Prof. dr hab. Jacek Kaczmarek, UŁ, Łódź**

Podpisuję się bez wątpliwości pod odpowiedzią dra Armina Mikos v. Rohrscheidt. Szczególnie trafnie użył on przy tym określenia "teoretyk turystyki Dean McCanell". Mam

bowiem wrażenie i przekonanie (na podstawie własnych doświadczeń), że znaczna część apodyktycznych i wieszczących autorów pisze to, co im się wydaje i zazwyczaj nie uczestniczyli w tych formach wyjazdów turystycznych opisywanych w różnorodnych książkach. Piszę na podstawie własnych doświadczeń terenowych, ponieważ podjąłem próbę sprawdzenia zmierzchu niektórych rodzajów turystyki odchodzących w przeszłość. Kurorty, 3s, zabawa w rajach turystycznym mają się dobrze i nie zwracają uwagi na wybitne koncepcje znanych teoretyków badań turystycznych.

**Prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk, UW, Warszawa**

Zabieram głos zachęcony opiniami moich Szanownych Przedmówców - dr Armina Mikos von Rohrscheidt i prof. Jacka Kaczmarka. Moja wypowiedź nie będzie tak głęboko wnikać w istotę naszych rozważań nad pytaniem nr 48, jak w przypadku Armina Mikos v. Rohrscheidt m.in. dlatego, iż w pełni się z Nim solidaryzuję. Może jednak będzie nieco dłuższa, niż wypowiedź Pana Profesora Jacka Kaczmarka (aczkolwiek zgadzam się, że turystyka "3S" jest nadal chętnie uprawiana, przeze mnie też). Dlaczego piszę te słowa? Otóż dlatego, iż kwestia reglamentacji turystyki, wprowadzanie ograniczeń (obojętnie przez kogo) i nią manipulowanie (też obojętnie przez kogo) jest czymś powszechnym. Jako "konsumenci" turystyki kulturowej cały czas jesteśmy na różne sposoby "kształtowani" niezależnie, czy tego chcemy, czy nie, i niezależnie, czy sobie z tego zdajemy sprawę, czy nie. Kto nami manipuluje? Np. system szkolny, który podsuwa nam lektury "takie", a nie "inne". Kultura masowa, oferując nam konkretne filmy, drukując "takie" a nie "inne" przekłady publikacji w obcych językach, itp. Jak przykład potwierdzający tę tezę może posłużyć kampania sprzed kilku czy nawet kilkunastu lat, dzięki której ewidentnie wzrosło zainteresowanie Toskanią (a nie np. Umbrią, Ligurią, czy Apulią). Oczywiście bardzo istotny udział w tym "urabianiu" turystów mają kampanie stricte marketingowe związane bezpośrednio z turystyką - vide afera z ostatnich tygodni z "Boską Toskanią".

To co wyżej napisałem dotyczy poruszonej w pytaniu nr 48 kwestii "reżyserowania spotkania turysty z kulturą i jej dziedzictwem". Nie tylko władze kraju odwiedzanego to robią, znacznie częściej różnego instytucje społeczne w kraju, z którego pochodzi turysta. Jedziemy do Paryża i odwiedzamy Luwr bo wiemy o nim, mimo, że może z naszych zainteresowań wynikałoby, że chętniej byśmy poszli do innego muzeum (ale o nim nie wiemy, bo nie słyszeliśmy o nim w szkole, nie było o nim mowy w programie Travel Channel, nie jest opisane w "Lonely Planet", "Michelin" itd.).

Ale jest też inny rodzaj reglamentacji turystyki kulturowej. Wspominał, już o tym dr Mikos v. Rohrscheidt: to czynnik polityczny. Przykład Korei Północnej (KRL-D) jest dla mnie oczywisty i w tym przypadku ograniczenia w swobodzie poruszania się turystów wynikają z polityki prowadzonej przez tzw. kraj przyjmujący (czyli władze tego kraju). Tak zresztą jest w wielu innych krajach, gdzie niektóre miejsca nie mogą być odwiedzane przez obcych.

Są też inne przykłady - Mjanmar, Iran, tzw. Turecka Republika Północnego Cypru i kilka tego rodzaju państw - są rzadko odwiedzane przez turystów interesujących się kulturą nie z powodu polityki wewnętrznej tych państw względem turystów, ale ze względów geopolitycznych. To inne kraje wprowadzają różnego rodzaju ograniczenia dla swoich obywateli, aby nie odwiedzali tych państw. Ograniczenia te mogą mieć charakter jawny, jak w przypadku "północnego Cypru" (brak bezpośrednich połączeń lotniczych, możliwość lotu tylko przez Turcję), albo znacznie mniej jawny (przypadek Mjanmaru, a zwłaszcza Iranu, do których władze niektórych państw odradzają jechanie swoim obywatelom). W przypadku "północnego Cypru" dyktat ze strony władz Grecji i Cypru sprawił, że cenne miejsca archeologiczne od połowy lat 70. XX w. nie mogą być badane przez zagranicznych

archeologów, co sprawia, iż tracą one swoją unikatową wartość i niedługo turyści zainteresowani kulturą antycznej Grecji, Bizancjum, czy okresu wypraw krzyżowych nie będą mieli możliwości ich zobaczenia. Czy tego rodzaju "bojkot" jest słuszny z punktu widzenia turystyki kulturowej? Chyba nie.

Z kolei mało który obywatel USA ma "odwagę" zobaczyć zabytki Isfahanu, Szirazu i innych miast w Iranie.

Jakie z tego wynikają konkluzje?

- 1) "Reglamentowana" turystyka kulturowa jest czymś co występuje od dawna, tylko na ogół "zwykły" turysta tego zwyczajnie nie dostrzega, bądź o tym nie myśli, że cały czas jest w jakiś stopniu sterowany.
- 2) Czy odwiedzanie takich miejsc, gdzie nasza obecność może popierać jakiś reżim, czy też nie, dotyka spraw związanych z etyką i tego co uważamy za "moralne" i "niemoralne". Zatrzymywanie się w hotelu 5\* w Mumbaju i oglądanie w czasie przejazdu autokarem przez miasto slumsów można uznać za czyn niemoralny, aczkolwiek, ktoś inny powie, że z pozostawionych przez nas 1000 USD, 20 centów wspomóżę dzielnicę slumsów, bo władze miasta zbudują tam studnię.
- 3) Jeżeli zgadzamy się, że turystyka - a zwłaszcza turystyka kulturowa - to spotkanie ludzi reprezentujących różne kultury, to nawet odwiedzenie "wsi potiomkinowskiej" w Korei Północnej, czy "cultural village" w Malezji (czy w RPA), rezerwatu Indian w Brazylii, Panamie, USA, czy Kanadzie, w jakiś sposób wzbogaca turystów, gdyż sprzyja pojawieniu się u nich różnego rodzaju refleksji (np. na docenianiu ustroju demokratycznego we własnym państwie). Z kolei mieszkańcy tych "potiomkinowskich" wiosek i miasteczek stykając się z turystami, mogą zobaczyć inny "świat", co może ich pobudzić do różnych działań (np. pełnej niebezpieczeństw ucieczki do Chin, postawienia sobie za cel życia ukończenia szkoły i podjęcie studiów w Durbanie, Ottawie, czy Sydney itp.).
- 4) Jakie miejsca odwiedzać, a jakie nie należy odwiedzać, trzeba pozostawić turyście. Potrzeba uprawiania turystyki kulturowej (jak i każdej innej) wynika z posiadanego przez nas systemu wartości. Jeden jedzie do Indii bo głównym motorem jego działań jest chęć zobaczenia "face to face" Adżanty, czy Tadź Mahal, a ktoś inny - chociaż bardzo chciałby zobaczyć te miejsca - nie jedzie do Indii, bo czułby się źle widząc żebrzące dzieci, wygłodniałe psy i okaleczonych ludzi na ulicach. Ocena, jaka postawa jest słuszna, a jak jest niewłaściwa jest trudna, tym bardziej, że dobrze byłoby jednak, aby Indie, Burkina Faso i Haiti dzięki dochodom z turystyki mogły podnieść standard życia swoich obywateli. Ale turystyka kulturowa to także zaspokajanie naszych potrzeb i przynoszenie nam satysfakcji. Więc może lepiej, że osoby wrażliwe nie jadą do Bangladesz, bo nie wiadomo czy ten wyjazd przyniósłby im radość, czy smutek.

Reasumując - pewną receptą na chociażby w niewielkim stopniu rozwiązanie problemów wiążących się z pytaniem nr 48, jest kierowanie się ideą turystyki zrównoważonej, czy też turystyki odpowiedzialnej (vide Sylwia Kulczyk i Agnieszka Bajtyngier "Świadomi i pomocni. W stronę odpowiedzialnej turystyki. Przykłady z Nigru i Sierra Leone", 2012, Polska Akcja Humanitarna).

**Szymon Czajkowski, AWF, Poznań**

Pozwolą Państwo, iż swoją wypowiedź rozpocznę od dosyć jednoznacznej deklaracji. Odpowiadając na główne pytanie postawione w tym miesiącu [przyp. *Czy możliwa jest turystyka kulturowa w krajach, gdzie władze nadzorują i reżyserują spotkanie turysty z kulturą i jej dziedzictwem?*] – tak, uważam iż podróże do tego rodzaju destynacji mogą

wpisywać się w turystykę kulturową nie mniej, niż wyprawy do innych punktów na ziemi. W swojej odpowiedzi posłużę się wybranym przeze mnie przykładem Korei Północnej.

Wydaję mi się, iż różnego rodzaju ograniczenia mogą wykluczyć fenomen turystyki kulturowej tylko w jednym przypadku – wówczas, iż wjazd do danego kraju zostanie po prostu uniemożliwiony. W każdym innym przypadku, nawet daleko idące reglamentacje nie likwidują możliwości podróży o charakterze kulturowym. W tym momencie zgodzę się z przedmówcami [dr A. Mikos v. Rohrscheidt, prof. A. Kowalczyk], iż każda wyprawa jest w pewnym stopniu odgórnie ograniczana. Jest tak nawet w przypadku Stanów Zjednoczonych – państwa nieraz stawianego na piedestale najbardziej „wolnego” kraju na świecie. Przecież żaden przyjezdny, nawet najbardziej zafascynowany wojskowością (turystyka militarna) nie dostanie pełnej swobody zwiedzania Pentagonu. Równie oczywiste przykłady można mnożyć. Dlatego chcąc twierdzić, iż turystyka kulturowa w Waszyngtonie jest możliwa a w Pjongjang już nie, należałoby wyraźnie wskazać kryteria wyróżniania turystyki kulturowej. W tym momencie pozwolę sobie zgodzić z dr Mikos v. Rohrscheidt, iż takie wskazanie jest po prostu niemożliwe.

Drugą kwestia, to przywołana już wymiana kulturowa. Dr Mikos v. Rohrscheidt pisał o wieloaspektowości dialogu międzykulturowego oraz o tym, iż nie sposób nawet wymienić większości zagadnień, które mogą motywować turystów. W tym momencie pozwolę sobie jedynie wzbogacić przytoczoną wypowiedź dodatkowym przykładem. Z wykształcenia jestem historykiem, a na świat przyszedłem już w II połowie lat 80-tych. Gdyby zdarzyło się tak, że moje zainteresowania badawcze wiązałyby się np. z kultem jednostki, nie byłbym w stanie odnieść tego do osobistych doświadczeń. W takim przypadku wyjazd do Korei Północnej mógłby wzbogacić moją wiedzę na temat badanego fenomenu. W rezultacie, w trakcie mojego pobytu nastąpiłby pewien obustronny przekaz kulturowy, a w interesującej mnie kwestii posiadane już przeze mnie informacje zostałyby wzbogacone o osobiste doświadczenie zjawiska (prawdopodobnie bardziej niż w jakimkolwiek innym państwie na świecie).

Odniosę się jeszcze raz do wspomnianej wypowiedzi, gdyż poruszona została także kwestia dwubiegunowości przekazu. Czy turyści zagraniczni są w stanie wpłynąć na sposób myślenia i zachowania spotkanych przez siebie Koreańczyków? Wydaje mi się, iż przykład KRL-D jest najciekawszy do omówienia tegoż zjawiska, ponieważ chyba nigdzie na świecie ograniczenia w kontaktach z mieszkańcami nie są tak daleko idące. Prawdopodobnie obcokrajowców spotyka jedynie bardzo niewielka grupa pracowników hotelu, pilotów (opiekunów partyjnych), ewentualnie kierowców czy aktorów odgrywających rolę „zwykłych” Koreańczyków. Wspomniana garstka osób zapewne jest o wiele bardziej zindoktrynowana. Dlatego kwestia tego, jak goście zza granicy mogą efektywnie wpłynąć na obywateli Korei jest dla mnie niezwykle ciekawa. Niemniej nie posiadam ani odpowiedniej wiedzy ani doświadczenia aby podjąć się próby rozstrzygnięcia tego pytania.

Innym ciekawym zagadnieniem jest głos dotyczący aspektów etycznych takich podróży i trudności rozstrzygnięcia podnoszonych w rozważaniu na ten temat [prof. A. Kowalczyk]. Wprawdzie brak kompetencji powstrzymuje mnie przed próbą udzielenia własnej odpowiedzi, niemniej pozwolę sobie podkreślić stwierdzenia odnoszące się także do tego wymiaru turystyki w państwach autorytarnych, obecna w dwóch wcześniejszych odpowiedziach. Prof. Kowalczyk wspominał o szansie poprawy – choć w niewielkim stopniu – sytuacji ekonomicznej, z kolei dr Mikos v. Rohrscheidt pisał o tym kamyczku, który przez naszą wizytę może poruszyć górę przemian. Uważam, że tego wkładu turystyki kulturowej także – a może zwłaszcza - na tak trudnych terenach nie powinno się lekceważyć.